

1

Wyciągnąłem się na siedzeniu starego forda pinto, słuchając odgłosów dochodzących z Zjeżdżalni, jedynej knajpy w rezerwacie. Schodzili się tam pospołu Indianie i biali ranczerzy. Wiedziałem, że w środku jest Guv Yellowhawk z kumplami, obalając piwo za piwem, przerywane kolejką shotów. Guv uczył wuefu w miejscowej szkole – futbolu, koszykówki i piłki nożnej. Ale, jak mówili, czasem za mocno kleił się do uczniów, tak do chłopców, jak i do dziewcząt. Chciałem dać mu się napić i odlecieć, nim zacznie się prawdziwa impreza. W bagażniku miałem mosiężny kastet i bejsbol, ale raczej nie będą mi potrzebne. Guv był spaślakiem z tłustą dupą, wysadzony od *frybreadu* brzuch przypominał zadek bizona.

Wynajął mnie ojciec jednej dziewczynki ze szkoły, żeby mu dać wpierdol. Guv wślizgnął się za dziewczynką do toalety, przyparł ją i zgwałcił. Rodzice interweniowali u dyrektora szkoły, ale Guv należy do jednej z najbardziej wpływowych rodzin w rezerwacie i szkoła odmówiła podjęcia jakichkolwiek czynności. Dyrektor zagroził nawet rodzicom dziewczynki, że wytoczy im sprawę za zniesławienie. Policja plemienna nic nie mogła zrobić. Wszystkie sprawy kryminalne w rezerwacie podlegały federalnym, ale ci mieli gdzieś przestępstwa, w których nie doszło do morderstwa. Dziewczynka była więc tak przerażona, że nie chciała wrócić do klasy, a Guv mógł bezkarnie molestować kolejne dzieciaki.

Nie chciałem honorarium za to zlecenie. Zwykle liczę po sto dolców od wybitego zęba i każdej złamanej kości, ale Guvowi postanowiłem skopać dupę za darmo. Nienawidziłem go od dawna – już jako nastolatek był wrednym chamem, który terroryzował inne dzieci, zwłaszcza *iyeska*, mieszaińców, takich jak ja. Oczywiście zawsze poruszał się w towarzystwie swego gangu, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wyszedł na solo. Ale dzisiaj miało się to zmienić.

„Gimme Shelter” Stonesów dochodzące z baru było słychać aż na parking, zapadając w głowie melodią, od której nie można się potem uwolnić. Zapaliłem papierosa i czekałem na Guva. W końcu wyjdzie, prędzej czy później.

Po godzinie zobaczyłem, jak wyłazi z baru. Szedł, zataczając się i fałszując coś pod nosem. Wsunąłem się z pinto i przyczałem za jego lśniącym, nowiutkim pickupem. Zaparkował na samym końcu, żeby nikt mu nie walnął w tę kosztowną furę. Nawet mi to pasowało – mogłem wymierzyć indiańską sprawiedliwość z dala od pijących kumpli Guva.

Wyszedłem z cienia. Guv ubrany był w sprane jeansy i koszulkę z nadrukiem drużyny hokejowej Walczących Siuksów. Wzrok miał przyćmiony i śmierzdział piwem. Na jego czole zobaczyłem znamię przypominające tomahawk.

– Cześć Guv.

– Co jest, kurwa?

Wlepił oczy w ciemność, nie mogąc rozpoznać, kto do niego mówi.

– Virgil.

– Kto?

– Virgil Wounded Horse.

– Aaa, pijesz, czy jak? Właśnie zamknęli bar.

– Noo, wiem, czekam na ciebie.

– Niby po co?

– Grace Little Thunder.

– Nie widziałem jej – zasępił się Guv.

– A ja słyszałem co innego.

– Troszczę się o *wakanheja*. Pokazuję, jak być Lakotą. Czasem rodzice nie doceniają tego.

– Uczysz ich życia?

Stałem między Guvem a furgonetką.

– Żebyś wiedział, uczę te dzieciaki, pomagam ich rodzinom. Czasem oczekują więcej niż mogą.

– Jesteś święty?

– Tylko facet.

– Który lubi wciskać się chłopcom, a dziewczynkom wkładać palce?

– Wiesz, jakie są dzieciaki, chcą, żeby się ktoś nimi zajął. Po prostu ściemniają, ludzie robią tyle hałasu z ich powodu.

– Inne dzieciaki też zmyślają? Słyszałem o tobie i małym Joey Dupree.

– Mam już dość tej całej gadaniny – Guv spróbował mnie ominąć. – Nie widziałem, żebyś coś robił dla *oyate*. Nie ma z ciebie żadnego pożytku, gadaj do siebie. Ja się zmywam.

– Nie sędzę.

– Posłuchaj, gnoju, rodzina Grace Little Thunder jest nikim, śmieciem. Mamusia chleje, a tatuś od dziesięciu lat nie skalał rąk pracą.

– Ta dziewczynka ma dopiero dziewięć lat.

– Odchrzań się. Co ci do tego...

Z całej siły przywaliłem Guvowi w brzuch. Taki cios powaliłby każdego, ale jego masywne brzuszysko zamortyzowało uderzenie.

– *Iyeska*, ty skurwielu! – warknął Guv i ruszył na mnie.

Zobaczyłem, jak zbiera się do ciosu, zrobiłem unik i walnąłem go w szczękę.

Guv potrząsnął głową jak mokry pies. Jakim, kurwa, cudem stał jeszcze na nogach? Pomyślałem o bejsbolu, ale w tej chwili poczułem oślepiający ból w boku. Cios w nerkę, zaraz drugi, jeszcze mocniejszy niż ten pierwszy. Porażenie prądem. Pulsacja nerwów. Wytrzymać, nie upaść, bo będzie po wszystkim. Chwiejąc się, oszołomiony, próbowałem wypracować jakąś strategię, ale mój umysł był jak góra lodowa ociążale dryfująca po oceanie.

– Ty mieszany bękarcie! – zaryczał.

Poczułem, jak Guv pluje mi w twarz, a chwilę potem leżałem już na ziemi. Kurwa. Kopał mnie w plecy, raz za razem, zadając ciosy jak młotem pneumatycznym. Próbowałem przebić się przez zaćmienie mózgu. Guv sapał, nie mogąc złapać tchu. Chwyć go za stopę, pomyślałem.

Wysunąłem rękę i pociągnąłem go. Zwalił się z łoskotem i wtedy zobaczyłem szansę dla siebie. Wstałem, chwyciłem go za prawe ramię i wykręciłem na plecy, aż poczułem opór. Wtedy pociągnąłem jeszcze raz.

– A co na to powiesz, sukinsynu! – spytałem.

Guv spojrzał na mnie i syknął: – Pierdol się, mieszańcu.

Miał jaja, to musiałem przyznać. Wróciłem pamięcią do liceum, byłem wtedy wątłym chłopcem, nie to co teraz. Przypomniałem sobie, jak Guv z innymi pełnorasowymi przewracał mnie na ziemię i bił, pamiętałem ten płacz z bezsilności, to upokorzenie, które zostało mi do dzisiaj.

Zastanawiałem się, czy puścić Guva, okazać mu litość, której sam nigdy nie doznałem. To takie lakockie, nie? Wacantognaka, jedna z siedmiu cnót lakockich – czyli współczucie, wielkoduszność, łaskawość, przebaczenie. Przypomniały mi się słowa nauczycieli ze szkoły. Uczyli, że największy zaszczyt, największa odwaga jest wtedy, gdy wojownik puszcza wroga wolno i uderza go tylko specjalną laską. Według legendy nawet Szalony Koń wykazał się raz odwagą poprzez zaliczenie ciosu na Paunisie, którego gonił aż na drugi brzeg rzeki, ale w uznaniu za jego odwagę postanowił go nie zabijać i podarować mu wolność. Wiedziałem, że honorowo byłoby puścić Guva – zgodnie z lakocką drogą – bez wymierzania dalszej kary.

Niedoczekanie, kurwa.

Wykręciłem mu ramię, aż po wyraźnym chrupnięciu bezwładnie opadło. Zrobiłem krok do tyłu i z całej siły kopnąłem go w szczękę, widząc, jak głowa mu gwałtownie odskakuje. Piętą przyduśiłem mu twarz do ziemi i zmiażdżyłem, zęby pękały jak chipsy. Klęknąłem i chwyciłem Guva za włosy.

– Słuchaj, chuju. Jeszcze raz dotkniesz dziecko w szkole, a utnę ci fiuta i wsadzę w gardło. Słyszysz mnie, ziomal?

Nie powiedział ani słowa. Lewe oko miał spuchnięte i zakrwawione, z nosa prawie nic nie zostało po wciśnięciu do środka. Z czarnej dziury wypływała krew.

– Czy właśnie zaliczyłem cios, dupku?

Pochyliłem się, żeby zobaczyć, czy jeszcze oddycha. Słabo, ale tak. Na betonie zobaczyłem kilka zębów. Przypominały małe, pożółkłe kamienie nagrobne. Zgarnąłem je i wsadziłem do kieszeni.

2

Otworzyłem drzwi do budy, którą rząd nazywa domem. Waliło głośnym rapem i czuć było zapach smażonego mięsa. Nathan, mój siostrzeniec, uszykował sobie śmieciowego hamburgera i maczał kawałek suchego chleba w tłuszczu. Krótko przycięte czarne włosy sterczały mu pionowo, kontrastując mocno z jasnobrązową skórą i piwnymi oczami. Miał na sobie ulubioną bluzę z kapturem, wysmarowaną niebieskawą bluzę z nadrukiem Sokoły – maskotki liceum – na piersi. Muzyka była za głośna, nawet nie słyszał, jak wszedłem, dopiero gdy dałem mu kuksańca w żebra.

Mieszkał ze mną od trzech lat, po tym, jak jego mama – moja siostra, Sybil – zginęła w wypadku samochodowym. Ojciec odszedł dawno temu i nie było mowy, żebym go oddał do jakiegoś domu zastępczego czy szkoły z internatem. Sybil jechała do pracy i ktoś zderzył się z nią czołowo. To ja musiałem powiedzieć Nathanowi, że jego mama odeszła do świata duchów. Do dzisiaj mam w pamięci wyraz jego twarzy.

Teraz Nathan miał czternaście lat i w końcu trochę się ustatkował. Zaraz po tym, jak zmarła jego mama, zaczął opuszczać szkołę i wybijać szyby w samochodach razem z kumplami. Powiedział, że szkoła mu niepotrzebna, bo chce zostać słynnym indiańskim raperem – czerwonym Tupakiem. Odparłem, że w porządku, ale jeśli jeszcze raz przyjdzie mi zapłacić za wybitą szybę, to będę musiał sprzedać jego konsolę do gier wideo. Ostatnio spuścił z tonu i zaczął przebąkiwać o college'u. Ktoś z lokalnego uniwersytetu miał spotkanie w jego szkole i zdopingował go. Nie wiedziałem, czy nie jest to słomiany zapał, ale połowę pieniędzy, które zarobiłem z ostatniego zlecenia, schowałem do pudełka po butach Red Wing na dnie szafy. Dawniej większość pieniędzy przepijałem, ale to już się więcej nie powtórzy. Skończyłem z piciem na dobre. Z zaoszczędzonych pieniędzy opłacę college Nathana. Będzie pierwszym w naszej rodzinie, który pójdzie do liceum.

– Cześć, staruszkule – powiedział.

Gdy wyjął chleb z tłuszczu, trochę gorącego oleju skapnęło mi na ramię. Poczułem, jakby mnie ktoś dźgnął sprężynowcem.

– Możesz wyłączyć to gówna? – wskazałem kaseciaka stojącego na blacie.

– Tylko nie gówna, brachu! – rzucił z pogardliwym uśmiechem. – To kawałek starego Biggie'ego.

– Taa, cokolwiek to jest, wyłącz. – Wziąłem kawałek suchego chleba i rozejrzałem się za czymś innym do jedzenia. – Zostało jeszcze trochę sera?

– Niiie, ale możesz wziąć trochę tego.

Kawałek tłustego hamburgera, który kupiłem tydzień temu, wysmażył się prawie do zera. Wyłowiłem trochę chlebem, na stole ciągnęły się strużki tłuszczu jak wyciek oleju.

– Co ci się stało? – spytał.

Po jego minie wiedziałem, że jest źle. Nie chciałem spojrzeć na siebie w lustrze.

– Miałem kraksę na rowerze.

– Ummm, jasne – zajął się jedzeniem.

– Mamy aspirynę? – Czułem, że ból w plecach i z boku zaczyna się nasilać. Jutro będzie masakra.

– Nie sądzę – odparł. Czasem stać nas było ledwie na papier toaletowy, zdecydowanie mniejszy luksus niż tabletki przeciwbólowe.

– A jak dzisiaj w szkole?

– W porzo.

Nie spodziewałem się żadnych rewelacji. Zawsze był małomówny, ale z rok temu prawie całkiem przestał się odzywać. Aby się czegoś dowiedzieć, musiałem wypytywać Jimmy'ego, jego najlepszego przyjaciela, gdy tylko zjawiał się w pobliżu. Z jakiegoś powodu Jimmy lubił gadać ze mną, ale z Nathana nie mogłem, cholera, niczego wydusić. Może otwierał się przed *inq* Jimmy'ego, kiedy do nich przychodził. Tak czy owak, próbowałem wyciągnąć z niego informację, gdy tylko miałem okazję.

- Dalej czytacie tę książkę *Zuma* w klasie?
- *Zuya* – poprawił mnie. – Nie, już skończyliśmy.
- A tak, *Zuya*.

Szkoła wybrała książkę o tradycjach Lakotów – jedną z nielicznych książek na ten temat napisaną przez Lakotę, a nie białego człowieka. Nathan jej nie cierpiał, mówił, że jest staroświecka i durna. Ale widziałem, że czyta ją w łóżku wieczorami, kiedy zwykle włączał grę wideo albo po raz dwudziesty oglądał jakiś horror.

- A teraz co czytacie?
- Jakiegoś Szekspira. Nie rozumiem tego.
- Ja też tego nie mogłem zrozumieć, w swoim czasie, ale wiedziałem, że musi próbować.
- Może byś wypożyczył film albo coś? Pomóc ci prześledzić wątek?
- Taa, może.

Odpuściłem i zacząłem szukać tylenolu.

- Hej, chcę o coś zapytać – odezwał się Nathan. – Mogę wziąć samochód jutro wieczorem?

Proszę.

Chyba naprawdę potrzebował mojego starego pinto, bo zwykle nazywał go „bombowcem”. Że nie wspomnę już o formie proszącej, co zdarzało się nieczęsto. Kilka lat temu nauczyłem go prowadzić, ale nie dałem mu jeszcze wsiąść na mojego poobijanego kawasaki. W Dakocie Południowej można prowadzić od czternastego roku życia, ale policja plemienna nie przykładła się przesadnie do egzekwowania prawa. Masa młodszych dzieciaków ujeżdża po rezerwacie.

- Teraz kumplujesz się z Jimmym? Wyhaczacie licealistki?

Spuścił głowę w zakłopotaniu: – Niiie, jutro ma być jakaś impreza w ośrodku. Ma tam być paru koleś.

- W porządku, ale może będziesz musiał trochę zatankować. Może nie starczyć na jazdę do miasta i z powrotem.

Twarz rozbłysła mu jak automat wypłacający wygraną.

- I zero piwa, bo skopię ci tyłek – zagroziłem.

Już chciał wrócić do swej małej sypialni, ale zatrzymał się i odwrócił: – Bym zapomniał, przyszedł twój przyjaciel Tommy, mówił, że musi z tobą pogadać. Że nie odbierasz telefonu. Kazał mi powiedzieć, że będzie w ośrodku wieczorem, że możesz przyjść, jeśli chcesz.

Kurde, co znowu?

Nacisnąłem telefon i zobaczyłem, że Tommy dzwonił trzy razy. Wybrałem jego numer, ale nie odebrał. Nic dziwnego. Działający telefon komórkowy w rezerwacie to czysta loteria. Miałem chęć odłożyć to na później, ale potrzebowałem fajek i postanowiłem pojechać do miasta. Może ktoś poratuje mnie ekscedryną.

Wziąłem motor, żeby zostawić benzynę w pinto dla Nathana. Po drodze przyszła mi na myśl Sybil. Miała ciężkie życie. Mąż gnida zostawił ją, gdy urodził się Nathan i wyjechał do Kalifornii. Była asystentką w biurze rady plemiennej, gdzie zarabiała tyle, że ledwie starczało na jedzenie, i żeby dorobić, sprzedawała naszyjniki i wisiorki z koralików własnej roboty. Przeszła też kilka semestrów, żeby mieć maturę. Nie pomagałem jej tyle, ile powinienem, ale miałem swoje problemy. Po szczególnie złej nocy chodziłem posiedzieć z Sybil i Nathanem. Mawiała, że muszą coś zjeść, po czym robiła gulasz z mielonej wołowiny i zaparzała kawę. Bawiłem się z dzieckiem, gdy ona się uczyła i pisała wypracowania do szkoły. Wtedy łatwo było sobie wyobrazić, że mam prawdziwą rodzinę. Przypomniała mi się nasza rozmowa, tuż przed jej śmiercią.

*Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i rysowaliśmy zimowe obrazki, jak w dawnych czasach?*

*Taa, chyba tak.*

Zimowe obrazki pełniły rolę kalendarza wśród Lakotów, ale nie takiego współczesnego. Uwielbiałem te rysunki, każdy symbolizował najważniejsze wydarzenie minionego roku. Gdy byliśmy dziećmi, razem z Sybil robiliśmy własne, rysując kredkami na papierze.

*Pamiętasz symbol, który wybraliśmy na rok, w którym umarła mama?*

*Czemu pytasz?*

*Bo to trzeba pamiętać.*

To nic takiego.

Nieprawda, to ważne! Czuję, jakbym zapomniała mamę.

Zwyczajnie się starzejesz. Trudno zapamiętać wszystko, co było kiedyś.

Jak dotąd pamiętałam. Teraz mi się wydaje, jakby wszystko odchodziło, zamazywało mi się w głowie. Wiesz, w ubiegłym tygodniu śniło mi się, że wyjeżdżam z rezerwatu i już nie wracam.

No, i niby dokąd pojechałaś? Do Paryża?

Nie wiem, mądralo, nie pamiętam... Ale ten sen... on był taki realistyczny. W domu fruwał orzeł i zaczął coś mówić, wiedziałam, co mówi, mimo że nie poruszył dziobem. Orzeł powiedział mi, że mam się szykować, że wkrótce muszę wyjść, że czeka mnie podróż. Spytałam, jak długo mnie nie będzie, ale nic nie powiedział, tylko patrzył na mnie tymi przenikliwymi oczami. Spytałam, czy Nathan jedzie ze mną, ale odleciał.

Sama wiesz, że te brednie namieszają ci w głowie.

Wtedy się roześmiałem i próbowałem ją rozbawić, ale odwróciła wzrok.

Zaparkowałem jednośląd przy wejściu i wpuściłem kluczyki do kieszeni. Ośrodek społeczny mieścił się w niskim, szarym budynku z tanimi oknami z plastiku, które były zmatowiały jak zaćma u staruszków. Ośrodek pełnił rolę nieformalnego miejsca do spotkań w rezerwacie. Młodzi mieli stół bilardowy, starsi stoliki i krzesła. W ciągu dnia zawsze przesiadywało tu co najmniej kilkunastu nastolatków, którzy plotkowali i flirtowali między sobą. Starsi skarżyli się na młodszych i rozprawiali o dawnych czasach.

Udałem się w stronę boiska do koszykówki, gdzie ujrzałem ze dwudziestu młodych i dziesięciu starszych. Przeciskałem się między grupkami ludzi, którzy stali i gadali. Dwóch dzieciaków próbowało rapu w wolnym stylu, ale wychodziło im tak sobie, nawet dla takiego rockendrolowca jak ja. Rozglądałem się dokoła, szukając tych, z którymi mogłem mieć jakiś zatarg w przeszłości, kto dalej mógłby żywić urazę. Miałem dość kłopotów na ten wieczór.

Zauważyłem Tommy'ego, który czasem uchodził za „Ik-Tommy'ego”, nawiązując do *tricksterapajaka* z lakockich opowieści dla dzieci. Byliśmy przyjaciółmi od czasu liceum, ale straciłem z nim kontakt, gdy zaliczył dwuletnią odsiadkę w stanowym więzieniu w Sioux Falls za czynną napaść. Pięć lat temu w Rapid City trzech licealistów natknęło się na Tommy'ego, jak popijał piwo w parku, pewnie pomyśleli sobie, że zabawią się z pijanym Indianinem, ale on nie był pijany i nie dał sobie w kaszę dmuchać. Był błaznem, ale nie chciałbyś mieć z nim do czynienia. Chłopcy zaczęli go popychać, ale Tommy wyjął jednemu z kieszeni odświeżacz Axe i psiknął dzieciakowi prosto w twarz. Mimo iż twierdził, że w samoobronie, to prokurator dowiódł, że puszka sprayu była niebezpieczną bronią i Tommy dostał dwa lata w stanowym o zastrzonym rygorze. W więzieniu spiknął się z paroma radykalnymi tubylczymi więźniami i zaczął czytać książki Vine'a Delorii i innych indiańskich pisarzy. Wyszedł rok temu i usiłował namówić mnie, żebym się przyłączył do aktywistów, ale nie chcę się w to mieszać.

– Sie ma! –zawołał, podchodząc do mnie. Długie czarne włosy opadały mu na szczupłe plecy w jeansowej kurtce, która miała tyle dziur, że nie wierzyłem, że może chronić przed zimnem. Na nogach miał stare tenisówki w biało-czarną szachownicę. Przez dziurę w lewym bucie wyłaził duży palec.

– Cześć, Tommy.

– Wziąłem parę małek na wypadek, gdybyś chciał wyjść na powietrze – czuć było, jakby już jedną opróżnił, a może i dwie.

– W porządku, nie trzeba. – Chwyciłem stare plastikowe krzesło i usiadłem. Z przyzwyczajenia chwyciłem się za kieszeń, szukając papierosów. Tommy nie palił, więc nie było sensu prosić go o fajkę.

– Powiedzieć ci o książce, którą czytam? *For Indigenous Eyes Only*? Jest zajebista. Okazuje się, że nas skolonizowali jak jakichś skurwieli. Nim przyszedł biały człowiek, nie mieliśmy żadnych kodeksów prawa, tak? Nie potrzebowaliśmy ich. Ani chodzić do pracy, bo żeby przeżyć polowaliśmy! Mam rację?

– Stary, od lat nie chwyciłeś się żadnej roboty – powiedziałem, przeczesując tłumek, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby mi odpalić fajkę.

– To nie o to chodzi! Praca jest dla frajerów. Mówię, że nie patrzymy na świat tak samo jak... ci tam, kolonizatorzy. Im chodzi tylko o nabywanie towarów, o kupowanie. Co się dzieje, gdy biały dzieciak ma przyjęcie urodzinowe? – Spojrzał na mnie, unosząc brwi.

– Jedzą ciastka?

– Nie, stary! Dostają prezenty! Kupaśną górę prezentów!

– My też dajemy dzieciom urodzinowe prezenty.

– Bo nas skolonizowali. O tym właśnie mówię. Co robią tubylcy podczas ceremonii nadawania imienia?

– Dają dziecku lakockie imię?

– Też, ale nie o to mi chodzi. Rozdajemy! Zanim ogłosi się duchowe imię, stary, rozdajemy. O tym mówię. Indiańskie dzieciaki rozdają prezenty wszystkim obecnym, niczego nie biorą dla siebie. To jest tubylcza droga.

– Nie każdy Indianin dostaje duchowe imię – odparłem. – Ja nie mam.

– Właśnie, najwyższy czas! Powinieneś zacząć iść czerwoną drogą. Powinieneś pójść ze mną na najbliższe spotkanie AIM-u, poznać ludzi.

– Zastanowię się – zobaczyłem, jak sala gimnastyczna zaczyna się opróżniać.

– A może powinieneś pojechać ze mną latem na Taniec Słońca. Poukładać sobie wszystko. Co, masz ochotę? *Hoka!*

– Wiesz, jak się czuję od tego całego pieprzenia. Z tańca dokoła drzewa nic dobrego dla mnie nie wyniknie.

Tommy spojrzał na mnie z wyrzutem:

– Brachu, pewnego dnia usłyszysz Stwórcę. Zobacysz.

Miałem już tego dosyć. Czas się ewakuować, wyskrobać trochę drobnych i kupić paczkę fajek.

– Nathan mówił, że masz mi coś do powiedzenia. O co chodzi?

– Ach tak, natknąłem się na Bena Short Beara. Chce gadać z tobą, i to zaraz. Mówi, że szukał ciebie.

– Czego chce?

– Nie wiem, powiedział, że to ważne – pewnie ma dla ciebie jakąś robotę czy coś.

Dziwne. Ben Short Bear był członkiem rady plemiennej i zwykle trzymał się jak najdalej ode mnie. Nie wspomnę, że kiedy ostatni raz rozmawiałem z nim, wykopał mnie z pracy w biurze, a zaraz po tym Marie, jego córka, zerwała ze mną. Stwierdziła, że jestem dupkiem, a ona zasługuje na kogoś lepszego.

Nie polemizowałem.

GDY WYSZEDŁEM z ośrodka społecznego, zobaczyłem mężczyznę poprawiającego małemu chłopcu koszulkę, i wtedy przypomniała mi się twarz ojca. Z czasem moje wspomnienia o nim wyblakły, ale niektóre zdarzenia ciągle przywodziły mi go na myśl. Pamiętałem, jak uczył mnie zawiązywać sznurowadła, kiedy byłem mały. Rzucić piłką do kosza, trzymać młotek i śrubokręt, czytać mapę. Pamiętałem, jak bezpieczny się czułem w nocy, wiedząc, że śpi koło mnie.

Pamiętałem też ten zły rok. Nikt mi wtedy nie powiedział, że ma raka, wiedziałem tylko, że jest chory. Później dowiedziałem się, że miał raka trzustki. Domyślałem się, że tego najzłośliwszego, który powala w parę miesięcy. Gwałtownie stracił wagę, do tego stopnia, że nie przypominał sam siebie. Dużo wymiotował, pamiętam, a że nie wiedziałem, że jego stan jest taki poważny, zastanawiałem się, czy pił. Gdy byłem starszy, mama powiedziała, że miejscowi lekarze byli do niczego, postawili diagnozę, gdy było już za późno. Po latach czytałem w internecie o nowotworze trzustki i zdaje się, że niewiele więcej można było zrobić. Lecz matce już na zawsze pozostał uraz do tych lekarzy.

W ostatnich miesiącach był już tak słaby, że nie wstawał z łóżka i okropnie cierpiał. Ból był taki, że trudno było przy nim usiedzieć. Czułem się bezsilny i do niczego, bo nic nie mogłem zrobić. Ale też się bałem, bałem się myśleć, że może umrzeć, i bałem się porozmawiać o tym z kimkolwiek.

W końcu zdobyłem się na odwagę i spytałem *medicine mana*, co mogę zrobić, żeby pomóc tacie. Ludzie szanowali tego świętego człowieka i wiedziałem, że ma odpowiedź. Powiedział mi, że powinienem pójść do lasu i modlić się. Powiedział, że mam spędzić w lesie cały dzień i noc, ale w razie potrzeby mogę zostać dłużej. Powiedział, że podczas modlitwy nie powinienem ani jeść, ani pić. Powiedział, że może przyjąć jakieś zwierzę i przynieść mi wiadomość, na przykład: jak uzdrowić tatę; i że gdy dostanę tę wiadomość, mam przestać się modlić i wrócić do domu. Powiedział, żebym próbował nie zasnąć, ale nasłuchiwać odgłosu ptaków i zwierząt, i nieustannie się modlić.

Czułem się jak bohater, choć nawet jeszcze nie zacząłem się modlić. Wyobrażałem sobie, co powiedzą mama i siostra, gdy po wszystkim wrócę do domu i one zrozumieją, że ja go uratowałem. Pobiegnę do domu i zacząłem się przygotowywać na czuwanie. Miałem pietra, że będę tam sam, ale opłaci się, kiedy wrócę. Mamie powiedziałem, że idę pod namiot z przyjacielem. Była tak przybita i zmartwiona stanem taty, że w ogóle nie pytała, co robię.

Pierwszego dnia nie bardzo mogę sobie przypomnieć. Pamiętam tylko, że byłem potwornie znudzony, mimo że usiłowałem skupić się na modlitwach. Trudno być samemu, nie móc odezwać się do nikogo, nie oglądać telewizji, nie słuchać muzyki. Głód i pragnienie mocno mi doskwierały i z trudem skupiałem się na czymś innym niż żołądek. Marzyły mi się hamburgery, frytki, frybread, lody. Usiłowałem czuwać, ale w pewnym momencie zasnąłem i zbudziłem się nazajutrz o świcie. Przez większość następnego dnia spędziłem zwinięty w kłębek, trzymając się za brzuch i usiłując nie płakać.

Trzeciego dnia już nie myślałem o jedzeniu. Modliłem się i zastanawiałem, co mogę zrobić, żeby wyleczyć tatę. Wieczorem znalazłem się w stanie półuśpienia, choć ciągle byłem przytomny. W pewnej chwili zasnąłem i miałem naprawdę dziwne sny. Śniło mi się, że do mojego obozowiska przyszedł jeleni, ale zwierzę miało dwie głowy. Byłem tak przerażony, że odwróciłem się od stwora. Potem śniło mi się, że z północy nadleciał biały jastrząb i zaczął mówić do mnie o tacie i jego życiu. Miałem wrażenie, że ptak mówi, że nie mam się martwić, że mam iść do domu.

Gdy się zbudziłem, uznałem, że już dosyć mnie nie było i wracam. Wiedziałem, że powinienem jak najszybciej odwiedzić *medicine mana* – gdy tylko coś zjem – i poprosić go o wyjaśnienie snów. On będzie wiedział, co znaczą i jak mogę uratować tatę. Kiedy jednak wróciłem do domu, wiedziałem, że stało się coś złego. Na podwórku stały jakieś obce samochody i nie było psów. Gdy wszedłem do środka, mama powiedziała, że tata odszedł w czasie mojej nieobecności. Przytuliła mnie i szepnęła, że jest okay. Ale nie było. Kiedy umarł, byłem poza domem i nie mogłem się pożegnać.

Spuściłem głowę, walcząc z napływającymi łzami. Próbowałem coś powiedzieć mamie, ale nie wydusiłem z siebie ani słowa. Myślałem, że jestem w stanie ubłagać duchy o uratowanie ojca, tymczasem jedyne, co zrobiłem, to straciłem szansę pocieszenia go w ostatniej drodze.

Już wiedziałem, że tubylcze tradycje – te wszystkie ceremonie, modlitwy, nauki – to jedna wielka bzdura. Wierzyłem, że będę zbawcą rodziny, a osiągnąłem jedynie to, że wyszedłem na durnia. Poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie dam się otumanić tym pustym rytuałom. Od tej chwili będę polegał wyłącznie na sobie.

Siostra ze smutkiem na twarzy podała mi warkocz płonącej szaławii. Wziąłem go i zacząłem deptać. Gdy w końcu płomień zgasł, rozkruszyłem szaławie butem. Matka patrzyła, jak zamieniam ją w proch. Przestałem, gdy na podłodze została tylko zielona plama i słodko-gorzki zapach unoszący się w powietrzu.

przeł. Marek Maciołek

David Heska Wanbli Weiden (ur. 1963) jest prawnikiem i zarejestrowanym członkiem Lakotów Sicangu. *Winter Counts* (2020) to jego powieściopisarski debiut, za który autor otrzymał już szereg nagród literackich w Stanach Zjednoczonych. W 2021 roku powieść ukazała się w Wielkiej Brytanii oraz w przekładzie na język francuski. Trwają prace nad tłumaczeniami na języki niemiecki, turecki i japoński. Polski przekład nakładem TIPI ukaże się w 2022 r.